

CO WIEMY O OPOZYCJI – A CZEGO JESZCZE NIE

TOMASZ WIŚCICKI

Opozycja demokratyczna w PRL w latach 1976–1981, red. Wojciech Polak, Jakub Kufel, Przemysław Ruchlewski, Europejskie Centrum Solidarności, Gdańsk 2012, ss. 618.

Pokaźny tom *Opozycja demokratyczna w PRL w latach 1976–1981* to efekt konferencji pod tym samym tytułem, zorganizowanej przez Europejskie Centrum Solidarności. Jego dyrektor Basil Kerski wyraża we wstępie do omawianej książki nadzieję, że „przyczyni się ona do popularyzacji badań na tematy związane z historią i ideą »Solidarności« oraz opozycją wobec dyktatury, a także naświetli wiele wątków nieporuszonych dotychczas w historiografii”. Nieco paradoksalnie, zwłaszcza w świetle nadziei wymienionej na końcu cytowanego zdania, szczególną wartością omawianego zbioru jest jego pierwsza część, rzeczowo zatytułowana *Organizacje opozycyjne*. Składają się na nią tekst Jerzego Eislera *Edward Gierek wobec opozycji demokratycznej* oraz monograficzne opracowania dotyczące głównych organizacji przedsierniowej opozycji: KOR (Jana Skórzyńskiego), ROPCiO (Grzegorza Waligóry), KPN (Grzegorza Wołka), RMP (Tomasza Sikorskiego) i SKS-ów, połączonych z posierpniowym już NZS (Kamila Dworaczka).

Paradoks polega na tym, że teksty te, rzetelne i dogłębne, nie odślaniają zbyt wielu nieznanych wątków, a jednak ich zestawienie tworzy zupełnie

nową jakość: panoramę przedsierniowej opozycji. Skórzyński, Waligóra i Sikorski są autorami obszernych monografii organizacji, o których piszą w omawianym tomie¹, trudno więc oczekiwać, by nagle dokonali nowych odkryć – już po napisaniu swych dzieł. Podobnie rzecz się ma z Jerzym Eislerem, badaczem peerelowskich kryzysów, owocujących przemianami systemu. A jednak taki właśnie początek tomu wydaje się w pełni uzasadniony. Syntetyczne przedstawienie głównych nurtów opozycji zarysowuje pokrótce stan naszej wiedzy na temat tych, którzy świadomie i w zorganizowanej formie postanowili rzucić wyzwanie wszechwładnemu i pozornie niezniszczalnemu (przynajmniej w perspektywie doraźnej) systemowi. Z kolei tekst Eislera pozwala zrozumieć, jak to się stało, że w totalitarnym systemie mogła pojawić się zorganizowana opozycja. Interesująco przedstawia on w tym kontekście postać Edwarda Gierka – człowieka, który ukształtował komunizm w Polsce lat siedemdziesiątych.

Tło zarysowane przez wspomnianych autorów pozwala też na perspektywę porównawczą. Ciekawe, że choć omawiane środowiska dzieliły rozmaite konflikty

¹ J. Skórzyński, *Siła bezsilnych. Historia Komitetu Obrony Robotników*, Warszawa 2012; G. Waligóra, *Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela 1977–1981*, Warszawa 2006; T. Sikorski, *O kształt polityki polskiej. Oblicze ideowo-polityczne i działalność Ruchu Młodej Polski 1979–1989*, Toruń – Szczecin 2011. Zob. moją recenzję tej ostatniej pracy: *Sukces i klęska realistów*, „Wolność i Solidarność” 2012, nr 4.

– nieuniknione chyba w żadnej ludzkiej działalności – większość z nich zachowała względną spoiłość. Istnienie choćby środowisk skupionych wokół „Krytyki” i „Głosu” nie rozsadziło KOR. Właściwie dopiero wyjście jego członków na nieporównanie szersze, solidarnościowe wody, a potem czas podziemia lat 1982–1989 (stopniowo coraz płytszego), podzieliły byłych korowców nieodwołalnie. Ostre, zakończone rozłamami podziały w innych środowiskach nastąpiły także dużo później niż sięga omawiana praca. Na tym tle uderza wyjątek ROPCiO. Organizacja rozpoczęła swój byt jako forum tych opozycjonistów, którzy nie odnajdywali się w formule KOR – i dość szybko pogrążyła się w konfliktach, dając początek innym grupom, zwłaszcza RMP i KPN. A przecież taki obrót sprawy nie był bynajmniej konieczny: można sobie wyobrazić trwanie w ramach większego ruchu mniejszych środowisk, np. na kształt wewnątrzkorowowskich kręgów „Krytyki” i „Głosu”. Wydaje się, że tendencjom odśrodkowym sprzyjała luźniejsza struktura i słabsze czynniki jednoczące. Samo przekonanie o tym, że Polska powinna odzyskać niepodległość i że należy o tym mówić wprost, jak widać nie wystarczyło. KOR znalazł sobie pole konkretnego działania, potrafiące łączyć ludzi, których skądinąd nie ma dzieliło. W ROPCiO było z tym gorzej.

Do szybkiego paraliżu ROPCiO przyczyniły się też niewątpliwie działania Służby Bezpieczeństwa. Choć jak w każdym takim przypadku nie sposób odpowiedzialnie stwierdzić, w jakim stopniu konflikty istniałyby i bez „działań dezintegracyjnych” służb, a w jakim to one skłóciły działaczy, wyliczenia konfidentów wśród czołowych działaczy ROPCiO w tekście Grzegorza Waligóry² i KPN u Grzegorza Wołka robią wrażenie przynębiające. Wniosek stąd płynie taki, że model przyjęty w innych organizacjach, zwłaszcza w KOR, opierający się na znajdujących się wzajemnie, niewielkich środowiskach, okazał się dużo bardziej ubekoodporny niż pospolite ruszenie na modłę

ROPCiO. Owszem, pewne zamknięcie zwłaszcza ośrodków decyzyjnych *modo* KOR też miało swoje wady, sprzyjając swoistej ekskluzywności, jednak konfidentów było tam wprowadzić dużo trudniej. Oczywiście, przykład Lesława Maleszki – zaprzyjaźnionego (jak się wszystkim wydawało...) z innymi członkami grupy tworzącej krakowski SKS – pokazuje, że pełne immunizowanie na wpływy agenturalne w warunkach totalitarnych jest utopią, jednak przypadek ROPCiO dowodzi, że przyjęty przez jego założycieli model słabiej chronił przed wpływami służb.

Nie oznacza to bynajmniej deprecjonowania osobistych zasług i odwagi ludzi tworzących Ruch Obrony. Nigdy dość powtarzania, że w warunkach totalitarnych każde działanie sprzeciwiające się ze szlachetnych pobudek opresyjnej władzy jest bezcenne. Z tego punktu widzenia nie ma opozycji nieudanej, niepotrzebnej. Oczywiście, jednym na krótką metę udawało się lepiej, innym gorzej – ale każde, choćby nawet najgłębiej spenetrowane przez SB działania opozycyjne miały sens.

Nie sposób też nie zadać pytania, czy z punktu widzenia totalitarnej władzy, starającej się nie dopuścić do zorganizowania się społeczeństwa przeciwko niej, można uznać za sukces fakt, że z osłabionego i sparaliżowanego w końcu ROPCiO wyłoniły się dwa inne, prężne środowiska: RMP i KPN.

W tle wszelkich właściwie rozważań na temat opozycji antytalitarnej stoi pytanie o definicję. Jakie właściwie działania uważamy za opozycyjne? W polskiej historiografii najwyraźniej i nie bez emocji wyartykułowali ten spór Andrzej Friszke i Tomasz Strzembosz. W skrócie rzecz ujmując, spór dotyczy z jednej strony działań odśrodkowych w aparacie władzy, z drugiej oporu podejmowanego przez rozmaite grupy społeczeństwa, niebędącego wszakże świadomym sprzeciwem wobec władzy z pobudek politycznych. W definicji Friszkego mieściły się te pierwsze, a te drugie nie; jego oponent uważał przeciwnie.

² Nawiasem mówiąc, w przypisie poświęconym tajnym współpracownikom SB wśród ważnych postaci ROPCiO, w tym również Andrzejowi Mazurowi (s. 56, przyp. 14), dziwi brak odwołania do artykułu Mariusza Gossa i Pawła Spodenkiewicza *Bohater, konfident, prowokator. Działalność Andrzeja Mazura, konfidenta SB*, „Więź” 2006, nr 2, s. 70–88.

Emocje, które towarzyszyły tym debatom (i nadal towarzyszą: ten spór należy do kategorii takich, których raz na zawsze rozstrzygnąć nie sposób), są zrozumiałe. W tle tkwi bowiem nieakademicki zgoła dylemat: czyja postawa zasługuje na większe uznanie – zbuntowanych partyjnych czy np. ludzi Kościoła? I kto w większym stopniu przyczynił się do upadku komunizmu?

Choć w omawianym tomie odwołania do sporu o granice opozycji pojawiają się marginalnie, to jednak – jako się rzekło – ma on znaczenie dla wszelkich rozważań poświęconych opozycji antytalitarnej. Tematyka zbioru bliższa jest definicji Friszkego niż Strzembosza: o Kościele w omawianym tomie nie znajdziemy prawie nic (prócz wzmianek o duchownych zaangażowanych w struktury opozycyjne), partyjnym struktorem poziomym poświęcony jest tekst Romana Bäckerera, zresztą jednego z głównych ich działaczy. Nie traktowałbym jednak tego jako opowiedzenia się za którymś ze stanowisk w sporze o zasługi. Zbiór trzyma się ściśle tematyki zorganizowanej, świadomej opozycji politycznej. Autorzy nie formułują (na ogół) uogólnionych sądów wartościujących. Struktury poziome w realiach lat 1980–1981 bardzo szybko okazały się jednoznacznie wyjściem poza system komunistyczny, jakim go znaleźliśmy. To już nie były rewizjonistyczne nadzieje na socjalizm z ludzką twarzą, bez kwestionowania pryncypiów systemu. Działacze struktur poziomych domagali się znalezienia trwałego miejsca w oficjalnym systemie politycznym dla Solidarności; gdyby im się udało (na co – jak się wydaje – szans nie mieli najmniejszych), to byłby to już zupełnie inny system. Poza tym powstanie Solidarności całkowicie zmieniło perspektywę: to ona była zasadniczym układem odniesienia, a nie układ sił w KC PZPR.

Omówienie tematyki poruszonej przez autorów wszystkich tekstów zamieszczonych w omawianym tomie jest niepodobieństwem. Dalej znajdzie się jedynie subiektywny wybór zagadnień wartych moim zdaniem podkreślenia, zwłaszcza poszerzających pole dotychczasowych badań.

Kamil Dworaczek w swym tekście o ruchu studenckim – prócz opisu faktów – zajmuje się także socjologiczno-politologiczną analizą opozycyjnego ruchu studenckiego przed Sierpniem i po nim. Przyznam się, że ta warstwa jego rozważań przekonuje dużo mniej. Analizując przyczyny, dla których studenci dość szybko odchodzili do „dorosłej” opozycji, jakby nie zauważał, a przynajmniej nie doceniał znaczenia tego, że status studenta z definicji jest przejściowy. Tak jak same studia są etapem przygotowawczym do dorosłego życia, tak opozycja studencka jest również etapem przejściowym. Wydaje się, że autor szuka bardzo skomplikowanych odpowiedzi na dość proste pytania. Podobnie próbując wyjaśnić, dlaczego po Sierpniu skokowo wzrosła liczba studentów zaangażowanych w działania opozycyjne, krąży wokół dość prostego wyjaśnienia: Sierpień pokazał, że możliwa jest zasadnicza zmiana, że komunizm i PRL nie są spetryfikowane na wieki ani nawet w perspektywie mierzonej czasem ludzkiego życia. Z przekonania, że komuniści „władzy raz zdobytej nie oddadzą nigdy”, płynęła być może najskuteczniejsza legitymizacja władzy. Gdy tym przekonaniem udało się zachwiać, liczba ludzi gotowych narażać się na represje wzrosła gwałtownie. Autor wspomina o tym czynniku, cytując prof. Hannę Świdę-Ziębę (a nie Ziębę, jak w książce!), ale nie docenia jego wagi.

Ciekawą analizę znaczenia postulatu odzyskania przez Polskę niepodległości w myśli zasadniczych ugrupowań opozycyjnych przedstawia Jakub Kufel. Wskazuje przy tym na trudność w badaniu tej problematyki, jaką jest praktyczny charakter polskiej opozycji. Autorzy nie odwoływali się do teorii znanych z filozofii polityki, a nawet do definicji suwerenności czy niepodległości. Punktem wyjścia było działanie, a myśl miała być dla niego uzasadnieniem. Wydaje się, że właśnie myśl polityczna polskiej opozycji – nawet z trudem odcyfrowywana z doraźnej publicystyki – stanowi szczególnie ciekawe pole badań, pozwalające lepiej zrozumieć naszą współczesność.

Krótki tekst Barbary Kijewskiej zwraca uwagę na słabą obecność kobiet w naszej pamięci o opozycji przed- i posierpniowej. Tekst, oparty na rozmowach

z czterema działaczkami, ma charakter przyczynku, jednak problem jest niezwykle ważny. Jego rzetelne i wyczerpujące potraktowanie będzie o tyle trudne, że jest uwikłane w przepętnioną ideologią dyskurs feministyczny. Rzetelne, nieideologiczne przedstawienie roli kobiet w opozycji – oto zadanie godne dziejopisów i dziejopisek.

Innej kwestii wymagającej niezbędnie obszernych badań dotyka tekst Jacka Tebinki o polityce Wielkiej Brytanii wobec opozycji w Polsce i całym bloku sowieckim. Tematem tym jest międzynarodowy kontekst Solidarności i – szerzej – polskiej opozycji. Autor na podstawie źródeł dochodzi do wniosku zgodnego z dość powszechną intuicją: zasadniczym celem dyplomacji brytyjskiej było nienaruszenie *status quo*, nawet jeśli Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie wprowadziła do brytyjskiej i w ogóle zachodniej polityki nową perspektywę. Nie zmienił tego antykomunizm Margaret Thatcher. Nawiasem mówiąc, z pamiętników Richarda Pipesa wynika, że w tej sprawie istniała przepaść między dwójgim zdeklarowanych skądinąd piewców wolnego rynku: panią Thatcher i Ronaldem Reaganem. W kwestiach polityki międzynarodowej brytyjska premier była europejska do bólu – niczym nie różniła się od innych obrońców pojątańskiego *status quo*. Prezydent Reagan zastanawiał się natomiast, jak je zmienić – z nie najgorszym skutkiem. Wyszedł przy tym od elementarnych intuicji moralnych: że wolność to ważna i piękna rzecz, na której zbudowano Stany Zjednoczone i której domagają się Polacy, a skoro komuniści postanowili nam ją odebrać, Ameryka powinna coś z tym zrobić. Takie rozumowanie dla polityków europejskich było zupełnie egzotyczne. Meandry światowej polityki wokół Polski zdecydowanie warto prześledzić – aby wyjść poza intuicje.

Wątpliwości budzi kategoryczne stwierdzenie Sebastiana Ligarskiego w tekście o wyborach 1976 i 1980 r.: „Władza nie musiała się uciekać do fałszowania wyników wyborów aż do 1989 roku” (s. 328). W innym miejscu przekonanie o fałszerstwach również kategorycznie uznaje on za mit. Nie znaczy to, bym podpisał się pod cytowanym przez Ligarskiego w przy-

pisie twierdzeniem Krzysztofa Kolasy, że wszystkie wybory zostały sfalszowane, czy też podobnym zdaniem Pawła Sasanki (s. 336). Po prostu brak moim zdaniem podstaw źródłowych do tak kategorycznych stwierdzeń – w jedną lub drugą stronę. Za tym, że wyniki bywały „korygowane”, przemawia zwłaszcza absurdalnie wysoka frekwencja. Nic jednak konkretnego na ten temat nie wiemy i – obawiam się – szczegółowo wiedzieć nie będziemy. Ale warto przynajmniej spróbować, choćby np. usiłując oszacować, jaki procent ludzi w żadnym razie głosować nie mógł – z powodu choroby, pozostawania na marginesie społecznym itp. Natomiast dokonany przez Ligarskiego opis działań władz podejmowanych w związku z wyborami jest bardzo ciekawy i wartościowy.

Szczególnie ważne wydaje się możliwie wyczerpujące zbadanie, jak wyglądała (albo nie wyglądała) opozycja przedsierniowa na poziomie lokalnym, poza dużymi ośrodkami, oraz opisanie tamże czasu Solidarności (a także stanu wojennego, ale to wykracza poza zakres omawianego zbioru). Z tego punktu widzenia na uwagę zasługują teksty zajmujące się opozycją w Przemyskiem, Łomżyńskiem i w Elblągu. Opisanie lokalnej opozycji powinno moim zdaniem być wstępem do spojrzenia na nią z perspektywy ogólnopolskiej i rekonstrukcji, jak naprawdę wyglądała Polska poza kilkoma największymi, najlepiej poznanymi i opisanymi miastami.

W tekście Karola Nawrockiego o Elblągu znalazło się jedno z nielicznych w całym tomie zdań ocennych, pisanych jawnie z dzisiejszej perspektywy, w pierwszej osobie. Dlatego przyjrę mu się bliżej – w niczym nie ujmując rzetelności autora w całym tekście. Opisując mianowicie Klub Inteligencji Katolickiej w Elblągu, Nawrocki stwierdza: „I mimo że z dzisiejszej perspektywy działanie KIK nie wydaje mi się szczególnie odważne, to jednak na ówczesne czasy to było coś nowego i przełomowego. Stąd nie dziwi fakt, że w sierpniu 1980 r. właściwie wszyscy członkowie KIK aktywnie włączyli się w ruch »Solidarności«”. Można zapytać: skoro to było coś „na ówczesne czasy” przełomowego i skoro włączyli się potem w działania Solidarności, to może „dzisiejsza perspektywa”, w której to działanie

wyduje się niezbyt odważne, jest myląca? Warto przypomnieć, a co młodszym uświadomić, że przystępując do takiej struktury jak KIK, a nawet tylko dystansując się jednoznacznie od struktur oficjalnych, obywatel (oficjalnie), a *de facto* poddany PRL sam skazywał się na byt drugiej kategorii. W późnej PRL nie musiało to oznaczać otwartych represji, ale np. niemożność normalnego, zgodnego z umiejętnościami awansu zawodowego. I niech nie myli tu fakt, że kluby inteligencji katolickiej działały na podstawie peerelowskiej koncesji. Kto z tej koncesji korzystał, sam się naznaczał jako ktoś, kto publicznie dystansuje się od władzy. A takich ta władza nie lubiła...

Nie mam zamiaru pastwić się nad jednym zdaniem skądinąd wielce interesującego tekstu. Skomentowałem je, gdyż coraz bliżej mi do smutnego przekonania, że doświadczenie życia w totalitaryzmie jest nieprzekazywalne tym, którzy w nim nie żyli. Nawet historikom. Dlatego czepiam się szczegółów w nadziei, że to doświadczenie jednak uda się ocalić i przekazać.

O tym, że nawet o – wydawałoby się – dobrze zbadanych czołowych ośrodkach opozycji da się powiedzieć coś ciekawego, świadczy tekst Konrada Knocha o PIK, czyli Prywatnej Inicjatywie Krakowskiej, wydającej pismo „Merkuryusz Krakowski i Światowy”. Jej inicjatorem był Robert Kaczmarek, a do jej (nielicznych) współpracowników należały tak znane postacie jak Mirosław Dzielski i o. Jan Andrzej Kłoczowski OP. To przedsięwzięcie pozostaje chyba najmniej znanym spośród tych, które działały w duchu tworzenia czy odtwarzania nurtu liberalno-konserwatywnego. Modny (dziś) kierunek, duże miasto, znani współpracownicy – i zapomnienie. Dobrze, że Konrad Knoch wydobywa z niego PIK.

Wydarzenia – o dziwo – dość mało znane przypomina także Wojciech Polak, opisując strajk studencki z jesieni 1981 r. Ta ogromna fala protestów, która objęła zdecydowaną większość ówczesnych wyższych uczelni, ginie wśród burzliwych wydarzeń tego czasu, brutalnie zakończonych w nocy z 12 na 13 grudnia. A przecież te strajki odegrały niezwykle istotną rolę w integracji środowisk akademickich – nie tylko studenckich! Zaryzykuję twierdzenie, że w dużej mierze

dzięki tym strajkom duch oporu utrzymał się na sporej części wyższych uczelni przez całe lata osiemdziesiąte. Dlatego nie zgadzam się z minorową konkluzją: „Nikt nie mógł przewidzieć, że stan wojenny położy kres wszelkim nadziejom na przywrócenie uczelniom autonomii”. Nawet jeśli rzeczywiście tak się wydawało 13 grudnia, to rychło się okazało, że nie wszystko stracone. Z niejasnych (a wartych zbadania) powodów wiosną 1982 r. uchwalono ustawę o szkolnictwie wyższym dopuszczającą bezprecedensowy jak na warunki komunistyczne (zwłaszcza w stanie wojennym) zakres akademickiej samorządności. Uczelnie stały się enklawą, gdzie działał samorząd studencki, a władze pochodziły z wyboru. Dopiero gdy się zorientowano, jaki użytek czynią środowiska akademickie z niespodziewanego prezentu, w 1985 r. znowelizowano ustawę w duchu bardziej zgodnym z klimatem epoki...

Joanna Wojdon, zbadawszy, co o Solidarności pisze się w zagranicznych szkolnych podręcznikach, a więc – czego może się o nas dowiedzieć młody Europejczyk, dochodzi do zaskakująco pozytywnego wniosku, że nie jest z tą wiedzą tak źle. Uwzględniając ogólne sploty nieuchronnie towarzyszące upowszechnieniu, wiedza o naszym kraju nie jest taka mała – nawet jeśli w niektórych książkach pojawiają się fragmenty w stylu „Kiedy Kara Mustafa, wielki wódz Krzyżaków”...

Tomy pokonferencyjne rządzą się swoimi prawami: pełniąc funkcje dokumentacyjne, muszą zamieszczać przygotowane teksty w zasadzie w postaci integralnej. Stąd pewne powtórzenia wydają się nieuniknione. Ponieważ jednak podobne zbiory funkcjonują potem samodzielnie, aż by się prosiło, by niektórzy autorzy nieco powściągnęli zamiary opisanie swoich tematów *ab ovo*. Niekiedy ciekawe, szczegółowe rozważania poprzedza powtórzony po raz kolejny opis dobrze znanych faktów – np. jak i dlaczego powstał KOR. To nie ułatwia lektury – i nie wydaje się konieczne.

Lekturę tego grubego tomu warto jednak z pewnością podjąć. Można z niego się dowiedzieć nie tylko tego, co wiemy o opozycji, ale jak pasjonujące kwestie dopiero czekają na odkrycie i zbadanie.